

Adam Wiaryga-Minieski.

JAK KRUKI.

Powieść z dni ostatnich.

38

Rawicz odetchnął kiedy już usadowili się nareszcie przy stoliku i Burczykiewicz ją wydawać dyspozycje kelnerowi, który przyjmował je z uprzejmym, usługowym uśmiechem i drwiącymi iskrami w oczach.

— A pan co będzie jadł, panie Kazimierzu? Niech pan sobie wybierze coś z karty...

— Dziękuję, nie głodny jestem — mruknął Kazimierz, biorąc jakąś gazetę do ręki.

— Co to nie głodny... Niech się pan nie kępuje...

Rawicz zastonił sobie twarz gazetą i nie odpowiedział wcale. Panował nad sobą, aby nie zerwać się, nie uciec.

Ale nie mógł tego zrobić. Przeciwnie, musiał silić się na grzeczność, bo dzisiaj właśnie pożyczyl od Burczykiewicza większą kwotę. I to już nie po raz pierwszy.

— Te pieniądze!... Ach! Gdyby nie te przekłete pieniądze!

— Panie Kaziu, czy bardzo ciekawa gazeta dzisiaj? — wszczynając rozmowę Stefka, przechylając ku niemu głowę, obciążoną monstrualną fryzurą i ogromnym kapeluszem z prawdziwymi „rajerami”.

— Ciekawa.

— A co tam w niej jest? Bo ja jeszcze nie czytałam dzisiaj „Kuryerka”.

— Zaraz pani może przeczytać. Proszę przynieść „Kuryera” — zwrócił się Rawicz do kelnera.

Stefka posmutniała. Jakiż on niedomyślny! Uwierzył, że jej chodzi o „wiadomości z Kuryerka”. A ona chciałaby tylko słyszeć ten jego melodyjny, najmiśszy głos. Niechby sobie mówił o czym chce, byle tylko mówił. Albo niech już nawet milczy, jeśli nie ma ochoty do rozmowy, tylko niech nie zasłania swojej cudnej twarzy tą ogromną gazetą. Poco to wogóle takie wielkie gazety drukują!

— Panie Kaziu...

— Pani sobie życzy?...

— Niech pan rzuci tę nieznosną gazetę.

— Dlaczego?

Dlaczego? Tak jakby Stefka mogła, umiała powiedzieć mu dlaczego.

Nie znalazła więc żadnej odpowiedzi i zwyczajem swoim ją wykręcać sobie splecione na kolanach palce.

— Dlaczego nie jesz, Stefka? — interpelował ojciec.

— Jakoś mi się nie chce.

— El To ci się tylko tak zdaje. Bierz-no się raz, dwa, trzy i schluss!

Orkiestra, skończywszy walca z „Księżniczki czardasza”, zagrała teraz rzewną, smętną kołysankę.

Burczykiewicz skrzywił się.

— El Co to znowu za rzempolenie, że aż człowiek apetyt traci. Nawet piwo nie smakuje przy takim graniu. Jak jest muzyka, to niech rznie wesoło!... „Wszystko jedno, czy to męska, czy to damska jest, byle tylko różna fest”.

— Wicuś!... Wicuś!... — upominała żona, która wprawdzie nie miała wyrobionego zdania o muzyce, ale spostrzegła, że kilka osób przy sąsiednich stolikach zaśmiało się głośno.

— Niechże tato da spokój! — powtórzyła swoje Stefka i niespokojnie rzuciła okiem na Kazimierza. Ale on wciąż zawzięcie czytał gazetę i zdawał się nic nie widzieć i nic nie słyszeć wokół siebie.

— Wersus Kazi! — zawołał młody oficer, przechodząc koło stolika Burczykiewiczów. — Kopeć lat nie widzieliśmy się!... Pysznie wyglądasz! Uchowałeś się w „cywilu” i jak widzę nieźle ci się powodzi.

— Antek!...

Uścisknęli sobie ręce i zamienili jeszcze kilka zdań. Rawicz miał zakłopotaną minę, a oficer uśmiechał się znacząco, zerkając na Stefkę i jej rodzinę.

— Możebyśmy już poszli? — zaproponował Rawicz. — Chyba państwo mają dosyć już kawiarni?

— Niby dlaczego, panie? Jak jesteśmy tu to odsiedzimy swoje.

— Nudno tutaj!...

— Tato, jeżeli panu Kazimierzowi nudno, to chodźmy.

— Co ma mu być nudno jak ma taką pannę jak ty przy sobie! — zaśmiał się dobrodusznie Burczykiewicz. — A może pan głodny, panie Rawicz? No, przyznaj się pan i każ sobie co dać...

Mrugnął znacząco powieką, jakby chciał powiedzieć: „nie bój się, bo ja płacę”.

Rawicz zacisnął zęby. Przeniknął go głębi taki wstręt i wstyd, że byłby uciekł napewno, gdyby go nie przykuła do krzesła myśl o pożyczonych pieniądzach.

Uciec łatwo, ale co potem? Burczykiewicz powie: oddaj, a tu kieszka pusta, jak wychylona do dna szklanka. Nawet matka opóźniła się z przysłaniem zwykłej miesięcznej kwoty.

— Nie będę jadł. Nie mam wcale apetytu.

— To tak, jak Stefa. Heł heł heł!... To już widać taki „magnys”. No, no, już wy oboje nabierzecie smaku.

— Hil hil hil!... — parsknęła śmiechem młodsza Burczykiewiczówna.

— Matka uśmiechnęła się z zadowoleniem, a Stefka fala krwi uderzyła do twarzy.

— Tato... tato... co też tato wygaduje... — jednocześnie oczy jej przymilone, rozpromienione szukały oczu Kazimierza, który przestał już czytać gazetę.

Ale na sąsiadkę swoją nie patrzył. Błądził wzrokiem po sali, zatrzymując spojrzenie na tej lub owej świeżej, pojętej twarzy czce niewieściej.

Na małej kanapce przed lustrem dostrzegł swą uczennicę, Lusię Niżyńską, w towarzystwie jej mamy, bardzo jeszcze ładnej, choć już nieco odświeżanej blondynki o bujnych kształtach.

Uklonił się ze swoim zwykłym dyskretnym uśmiechem, którym zawsze czarował kobiety.

Lusia kiwnęła mu główką z widocznym dąsem, a na pełnej, okrągłej, zanadto białej twarzy pani Niżyńskiej odbiło się coś jakby gniewne wzburzenie.

— Złe są na mnie, że siedzę ze Stefką — pojął w łof powód tego złego humoru — no, nic nie szkodzi. Nie trudno będzie przeprosić się.

Natomiast zmieszał się lekko, kiedy napotkał chłodne, przenikliwe, subtelnie ironiczne spojrzenie mecenasa Wilskiego, który w towarzystwie jakichś dwóch panów i eleganckiej, smukłej niebieskookiej szatynki popijał zwolna małymi łykami czarną kawę.

Dziwna rzecz, zdawało mu się zawsze, że tamten wie i... drwi sobie z tego... Rawicz wołałby już zazdrość, jak to milczące, pobłażliwe lekceważenie.

— Waryat jestem — usiłował perswadować sobie — skądżeby wiedzieć mógł? Lula zanadto sprytna bestyjka.

W mózgu Kazimierza wyłoniła się plastycznie węzowo giętka postać panny Kalińskiej i jej twarz o przedziwnym gorącym kolorycie.

Na wspomnienie jej pieśczołamiętnych, na wspomnienie jej ust szkarłatnych, łakomych przebiegły go rozkoszne dreszczyki krwi.

— Jakiego ta szelma dyabła ma w sobie...

Za chwilę jednak uczuł, że Lula rozplywa się gdzieś w mgłę, zaciera się pod wpływem dwójga oczu ciemnobronzowych ze złotymi iskrami, oczu uroczych, na dnie których kryło się tysiące słodkich obietnic i niespodzianek.

Właścicielka ich blondynka o ognisto-złotych włosach, utkwiała swoje magnetyczne spojrzenie w twarz Rawicza. Siedziała niedaleko w towarzystwie kilku jeszcze kobiet, aktorek, o ile można było osądzić z ich rozmowy i strojów i z niedbałym wdziękiem paląc papierosa mrużyła nieco powieki o długich rzęsach. To właśnie przymrużenie miało u niej jakiś powab szczególny.

Ubrana była w bluzkę luźną z gorąco-złotego jedwabiu, do której przypięła pęk ponsowych gwoździków.

Z temi ognistymi włosami i iskrzącym spojrzeniem wyglądała w tem ubraniu jak uosobiony płomień.

Inna kobieta mogłaby na jej miejscu stać się śmieszna albo ordynarnie wyzywająca, ona była tylko urocza, kusząca.

Rawicz utonął w niej wzrokiem. Poprzez tłum gości, poprzez obłoki dymu tytoniowego biegły ku sobie ich oczy, rozpalone pożądaniem nagle i mocno.

Stefka śledząca pilnie każdy ruch Kazimierza dostrzegła odrazu to nieme porozumienie.

Wargi jej zadrżały, jak u skrzywdzonego dziecka.

— Panie Kazimierzu...

Zahypnotyzowany nie usłyszał nawet.

— Panie Kaziu... — delikatnie pociągnęła go za rękaw.

Spojrzał na nią jak nieprzytomny.

— Co?...

— Panie Kaziu, dlaczego ta... ta pani tak się patrzy na pana... ja nie chcę... — mówiła szeptem zdławionym łzami.

Uderzyły ją jego oczy twarde, zimne, nakazujące.

— Czego pani nie chce?!

— Nic... nic... już nic...

Rawicz miał już na ustach jakieś ostre słowo, kiedy nagle uwaga jego skierowała się w zupełnie inną stronę.

Drzwi kawiarni otwarły się i ukazał się w nich Borowicki z Michałem Rudą.

Zajęli mały stoliczek koło drzwi, w ten sposób ustawiony, że nie mogli widzieć Burczykiewiczów ani Rawicza.

Ale Kazimierza ogarnął strach, a przede wszystkim palący wstyd.

Jeżeli Borowicki obróci się i zobaczy go? A ten Ruda, dlaczego on teraz wieszka się przy Borowickich? Stał się poprostu niecdstępnym towarzyszem profesora. No, a chyba nie zakochał się w starym Borowickim. A zatem... zatem wniosek jasny. Kocha Wandę i przez ojca usiłuje trafić do córki. A gdyby... gdyby mu się to udało... Wanda uwielbia ojca...

Rawicz uczuł, że spazm wściekłego gniewu i zazdrości skręca mu serce, dusi go, dławi, wzrok jakąś mgłą przesłania.

— Wanda! Moja Wanda...

Gdyby mógł krzyknąłby głośno: Moja! moja! moja! tylko moja!...

W jednej chwili zapomniał i o pieniądzach pożyczonych od Burczykiewicza i o rozkochanej Stefce i o namiętnej Luli Kalińskiej i o fascynujących oczach ognistowłosej blondynki. Jedno tylko miał pragnienie, jak najprędzej, zaraz zobaczyć Wandę.

Bez wahania wstał.

— Przepraszam państwo, ale przypomniałem sobie, że mam pilny interes na mieście... Więc muszę pożegnać...

— Panie Kaziu, pan odchodzi?...

— Dajże pan spokój, interes może poczekać. Siedź pan...

— Nie mogę. Dowidzenia.

już go nie było.

Stefka gryzła wargi, żeby nie wybuchnąć płaczem. Burczykiewicz zachmurzył się.

— I co... Zbikował ten twój gagatek, czy co! Co on tam może mieć za interesy?... I tak panie, ani z tego ani z owego... To mi się, panie, nie podoba...

— On się pewnie obraził... — wykrztusiła przez hamowane przemocą łzy córka.

— E, obraził, obraził!... Ciekawym o co?!

Czy o to, że mu chciał „fundnąć” kolację i że sobie odemnie pożyczył...

— Tato, na miłość boską, niech tato o tem nie wspomina!

— A to przez co?... Czy ja mu nie moje własne pieniądze pożyczyłem! A on sobie fochy jakieś... Niby straszne rzeczy... Czem on jest, co on ma? Ty, Stefka, nie takiego dostać możesz.

— Niech tato tak nie mówi... bo... bo ja sobie co złego zrobię.

— Kręcka masz i już! Ale jakieś się tak uparła, to go sobie weź. Twojego ojca stać na to, żeby ci panicza kupił. Czy on się przynajmniej już tobie oświadczył?

— Właściwie to jeszcze nie — wyszeptala cichutko dziewczyna.

— No widzisz!... Może on tylko tak, żeby dobry obiad zeżreć i trochę „hopów wycygnąć”? Dyabli wiedzą co to za ananas! I to ci powiadam, Stefka, rób sobie jak chcesz, ale albo niech gada, czy się chce żenić, albo forą ze dwora. Dosyć mam tego kręcenia gitary.

— Stary, Wicek! Dajże spokój, bo Stefka płacze, a ludzie się patrzą.

— Chodźmy już, tato... Chodźmy...

— Płacić! — huknął Burczykiewicz.

— — — — —

(Ciąg dalszy nastąpi).